

Profesor Witwicki szuka wydawcy?

W kołach uniwersyteckich krąży wieści o niepowodzeniach wydawniczych profesora psychologii na uniwersytecie Józefa Piłsudskiego — dr. Władysława Witwickiego.

Profesor Witwicki, o którym pisaliśmy już na tym miejscu z okazji jego wywiadu w „Asie” o — miłośni, zabiega podobno o wydanie książki, poświęconej psychologii życia religijnego u ludzi inteligentnych. Praca ta ma być — jak mówią — „koroną twórczości” wybitnego psychologa.

Sądząc z niektórych wypowiedzi zawartych w dwutomowym dziele prof. Witwickiego p. t. „Psychologia”, książka byłaby nader... ciekawą. Niestety jednak — jak słysząc — u czonemu trudno znaleźć wydawcę tej książki, bynajmniej nie ze względów finansowych.

Nie wiadomo czy i kiedy ukaże się to dzieło. W każdym razie działalnością profesora Witwickiego warto by zająć się bliżej. (X)

Zegarek kieszonkowy w starożytności

W rzymskiej osadzie Herapol, niedaleko Forbach, wykopano rozmaite przedmioty z dawnych czasów rzymskich. Najciekawszym z nich jest mały zegarek słoneczny, którym posługiwano się w podróży.

Zegary bowiem słoneczne starożytnych Rzymian wcale nie były rzadkie — szczególnie zaś zegary małej konstrukcji do przenoszenia. W Niemczech na przykład znajdują się tylko cztery słoneczne zegary z tej epoki — a w ich liczbie dwa małe włącznie ze świeżo odnalezionym. Jeden zrobiony jest z kości słoniowej, a drugi z brązu.

(b. g.).

Marcin Podemski

Kochany, stary Poznań

Poznań, w listopadzie.

Warszawa zmienia nam się w oczach. Z dnia na dzień przybierają nowe budynki, stare zmieniają swe oblicze. Różnice te, szybkie zmiany uderzają każdego, nawet stalego mieszkańca stolicy, który nie opuszcza miasta na dłużej, niż 2-3 dni.

Inaczej w Poznaniu. Ostatni raz byłem tu przed przeszło 5 laty, w sierpniu 1932 r. Obecnie, jadąc do Paryża, zatrzymałem się na kilka dni w tym mieście, zawsze drogim memu sercu.

Dworzec, jak dworzec. Stary, ogromny gmach stoi jak dawniej. Ale i ulice również nie się nie zmieniły. Stare domy od dawna nie odnawiane, zakurzone i zapyłone, pokryte warstwą sadzy i drobinkami węgla z parowozów, przejeżdżających przez miasto nawskroś. Wspaniały, godny, zażytkowy ratusz wystrojał swymi wieżami wysoko w niebo, głośniejąc chwałą przeszłości. Pod jego murami skupiło się przyziemne życie powszednie. Stragany przekupiek, stopy warzyw, tu i ówdzie sprytny przekupień, starający się wcisnąć przechodniom jakiś „najnowszy wynalazek” do wiązania krawata albo wywabiania płam — oto tło ratusza.

POWOLI...

Ruch na ulicach bardzo mały. Statecznie wloką się zielono-białe tramwaje, wytrwale dzwoniąc na rzadkich i apatycznych przechodniów. Czasem przemknie zdezelowana taksówka, oznajmająca swój przejazd brzękiem metalowych części i szyb.

Jeszcze w samym centrum, na Placu Wolności, na św. Marcinie, na 27 Grudnia, w Alei Marcinkowskiego życie pulsuje w nieco żywszym tempie. Tu mieszczą się najwspanialsze sklepy z gustownie urządzonymi wystawami, redakcje największych dzienników i czasopism wielkopolskich, kina, teatry... Wyrósł nawet na tej centralnej przestrzeni nowoczesny gmach PKO (na który z dumą wskazuje każdy poznańczyk), powstaje nowy budynek dla BGK, zdala widoczny jest jaskrawo i niezbyt pięknie odnowiony pałac Działyńskich, ośrodek życia kulturalnego Poznania (tu odbywała się sławna już na całą Polskę odczyty czwartkowe).

Wedruję sobie któregoś przedpołudnia po ulicach stolicy Wielkopolski, ot tak, błędnie bez planu („flanuję” — mówią z francuska) i obserwuję to powolne, prowincjonalne życie miasta. Co i raz to zerkam na wystawy (na ogół ładnie urządzone) i z zainteresowaniem odczytuję „wiewieszkę”.

SZYLDY I REKLAMY

I tu wszystko po staremu. W dalszym ciągu odbywa się „przeżenie firan”. Krawiec ogłasza, że u niego wykonanie jest „miaropole”.

Kom letv w „8.15”

Teatr „8.15” daje co wieczór przy wyprzedanej widowni „Cnotliwą Zuzannę” świetnie wyreżyserowaną przez W. Zdzitowieckiego, grana koncertowo przez cały zespół.

PODRÓŻUJ SAMOŁOTEM

we” (t. j. na miarę). Co chwila napotykam „probiernię”, do której jest „wschód z narożnika”. Gdzie indziej są na sprzedaż „łózka i wózki”. W winiarni znajdują się „specjalnie pielęgnowane piwa”, w śniadalni — „dziś wieprzobiec”. Nie tak dawno skończył się sezon „zabaw latoowych”: resztki afiszy jeszcze strzępią się na jeśninnym wietrze.

Idę tak jakieś pół godziny, może trzy kwadransy — i oto już jestem na przedmieściach. Dokoła mnie szare, smutne jesienne pola, ponad mną ciężkie zwaly ołowianych chmur.

NOWY POZNAŃ

Tu, pod Poznaniem, ruch budowlany jest żywszy. Wykańcza się właśnie mały ale wzorowy stadiion Poczтового Przysposobienia Wojskowego, rosną całe osiedla miłych domków podmiejskich. Szczególnie na południe od Poznania — Puszczykówko, Puszczykowo — wiele jest tych nowych domczków.

Na ogół jednak Poznań słabo się rozrasta, a specjalny uszczębek ponosi jego przemysł. Woli się obecnie budować fabryki raczej na t. zw. Trójkacie Bezpieczeństwa, niż tu w starej Wielkopolsce.

Natomiast tętno życia kulturalnego wcale nie słabnie. Dobrze rozwija się prasa, czytelnictwo jest większe, niż w innych dzielnicach, teatry, kina, wystawy, są ważnym tego czynnikiem. Również życie uniwersyteckie przybiera ciagle na sile. Żywoćne jest koło romanistów, które urządza stale nowe wystawy. (Co za przeciwieństwo do romanistów warszawskich, nie rozwijających żadnej działalności na zewnątrz, ledwo grzebiących się w swoim kółku).

„WARTA NAD WARTĄ”

Wieczorem, do poduszki (to wcale nie znaczy, żeby miał działać usypiająco!) oczywiście Nowaczynski „Warta nad Wartą”.

Fan Adolf, zawsze pełen życia i temperamentu, zakochał się na staro (czy starsze) lata: Wielkopolska stała się jego ułomowaną.

Powyrzebywał, ilu to wspaniałych, czołowych ludzi stąd pochodziło, opowiedział ich życie i czyny, wykazał, ile to Polska zawdzięcza swej najlepszej części — Wielkopolsce.

Kochana książka! Jakże było jej nam potrzeba, nam wszystkim, którzy kochamy i szanujemy „Posnanię”, naszą starą, wielką Polskę. Trzeba o niej zawsze pamiętać, nie pozwolić, aby jej siły żywotne słabły na jakimkolwiek polu. Ona jest zawsze dla nas bardzo ważna, bardzo niezbędna:

— Kochana, stara Wielkopolska.

Z teatru o teatrze

Zemsta, strach, czy - histeria?

TEATR MAŁY: „WALĄCY SIĘ DOM” SZTUKA W 3-CH AKTACH
MARII MOROZOWICZ - SZCZEPKOWSKIEJ

Kobiety, które piszą bywają nie przyjemne. Niezależnie od wieku, w którym to robią. Rzadko tylko udaje się im uniknąć subiektywizmu, egzaltacji i — Mesdames, pardon! — histerii w ujmowaniu problemów. Pani Morozowicz - Szczepkowska nie należy wprawdzie do tej kategorii pisarek, lecz i jej talent nie jest wolny od skaz. Zdarzają się takie brylanty.

„Walący się dom” napisany jest z odrobiną histerii. Nie można się oprzeć wrażeniu, że Autorkę spotkała jakaś krzywda ze strony — arystokracji i że za tę właśnie krzywdę mści się ona na tej nieszczęsnej kaście z wyrafinowaniem, okrutnie, na zimno i w sposób nieco — historyczny.

Stary hrabia, ongiś rozpustnik i kobięciarz, jak się tego można domyśleć z własnych słów jego syna, na starość obrydlawy skąpiec, poza tym tępy wielbiciel „t h a d y c y j h o d o w y c h”, jako ojciec — nieludzi, uparty despota i tyran, jako gospodarz — zacofaniec i ślimak.

Młody hrabia — „ostatni z rodu” —

— okaz niebywałego kretyna, ograniczonego „inteligentnego pół-analfabety”, dziedziczny kobięciarz i karciaz, amoralny, tępy, niebotycznie zarozumiały, aspołeczny, bez kultury, piramidalny osioł.

Starsza hrabianka — lepka rozklejona plaska w niemodnej, starej spódnicy, jęklawa, egzaltowana, starzejąca się pannica, zbzikowana teozofka — cieć.

Młodsza hrabianka — „kobieta wyzwołana”, samodzielna, sprytna, z lebkim do gesztów, wysportowana, modern, gotowa własnego ojca skrzyżować do sądu o spadek, z aspiracjami nie przewyższającymi własnego biura handlowego...

Oto są przedstawiciele arystokracji wprowadzeni przez autorkę na scenę. Przeciwwstawia im pani Szczepkowska jednego człowieka kulturalnego — Barskiego — przypadkowo z tej samej rodziny.

Odrażające charaktery — to jednak zaledwie połowa. „Arystokraci z walącego się domu to nie tylko antypatyczne jednostki ludzkie. To także szkodnicy społeczni, którzy podatki uważają za dopust boski, a swoją ojcowiznę — ziemię traktują jak (wybaczyć to porównanie, lecz samo się ciśnie pod pióro) psy ogryzione kosc: — sami obliżują wprawdzie resztki, ale drugim za nic nie chcą ich oddać. Hrabia Rakuski dostaje ataku apopleksji na samą myśl, że rodowe dobra możnaby sprzedać chłopom, Rakuscy degenerują. Nie stać ich na utrzymanie ziemi, na której od wieków gospodarzyli ich przodkowie. Dom rodzinny wali się w gruzy i nie ma nikogo, koby pomyślał o naprawie. Ratunku nie widać nigdzie, bo młode pokolenie posunęło się w degeneracji o krok dalej od ojców. Ci

ludzie są psychicznymi kalekami: nie widzą własnego upadku, zapatrzeni są w rzekomy blask swych herbów i tradycji. Mają tylko nazwiska, lecz te — umięją dobrze sprzedać. Janek, mimo iż oburzał się, że jakiś tam oficer osmilił się konkurować do ręki jego siostry — hrabianki Rakuskiej — sam żeni się z parweniuszką, bo parweniuszka posiada forsz.

Patrząc na „Walący się dom” wydaje się chwilami, że jest to widowisko bolszewickie, mające wykażać „zgniliznę warstwy” posiadającej. Nie jest tak jednak, bo następów Rakuskich widzi Autorka w — Wawryńcach — złodziejzaskach wiejskich, chcących ziemi chłopack.

Zdaje się, że p. Szczepkowska czuje swą bezradność wobec problemów rzeczywistości: z jednej strony degenerująca arystokracja, z drugiej — ciemne, chciwe chłopstwo: — tylko patrzeć, jak rzuci się rżnąć panów. Ciemność, noc, zgroza... Na szczęście jest inaczej, niż sobie p. Morozowicz - Szczepkowska wyobraża.

Taką samą nieporadność widać u Autorki w stosunku do stworzonych przez nią samą postaci: nie bardzo wie, co z nimi zrobić.

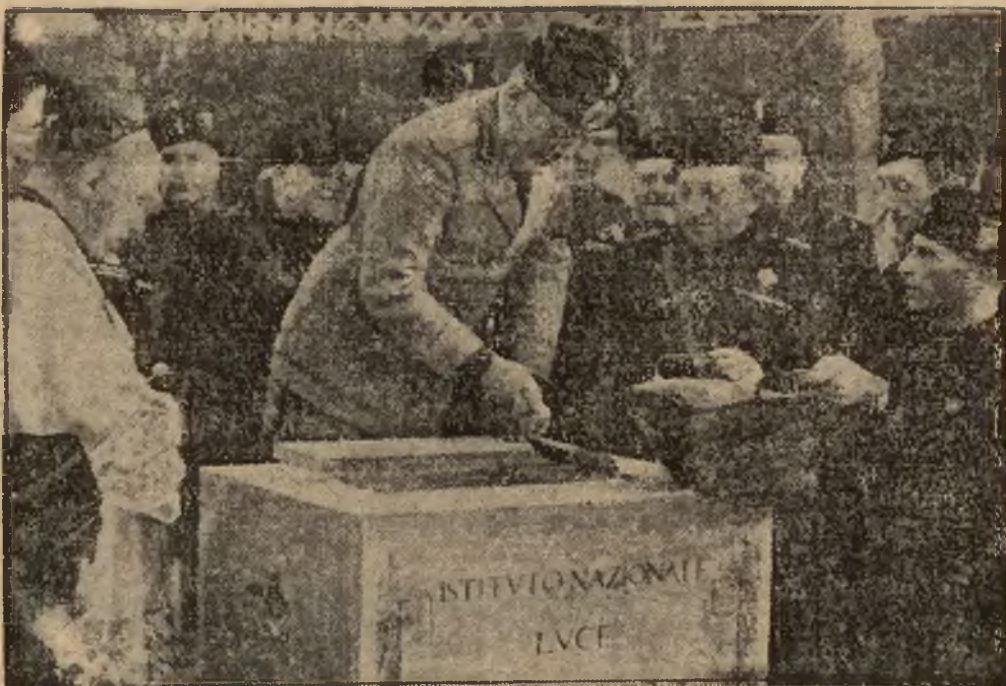
Dlatego też po bardzo dobrym pierwszym akcie Gustaw Buszyński, artysta kulturalny, bardzo dobrze odzwierciedlający postać Barskiego, płacze się po scenie, nie mając co robić, patrzy i słucha. Szkoda go do tej roli.

Ratuje widowisko dobra reżyseria Ziembinskiego i bardzo dobra gra zespołu. Bezsprzecznie wyróżnia się Bogusław Samborski w roli hrabi Rakuskiego. Jego gra w akcie pierwszym sięga szczytów kunsztu aktorskiego. Niezwykła plastyczność cechuje jego mimikę i głos. Samborski targa nerwami widzów. Sparaliżowany starzec w jego interpretacji drażni, irytuje, budzi wstręt, współczucie i grozę. Samborski dał koncert przejmującej gry i zasłużył na najwyższe pochwały. Niestety, w miarę odzyskiwania zdrowia traci z wolna: na wyrazie.

Bardzo dobrze wyszła z nader trudnej roli Zofia Małyniczówna. Pokazała duże zdyscyplinowanie wewnętrzne i opanowanie środków artystycznego wyrażania. Bardzo sympatycznie wypadła też kreacja Ireny Borowskiej, u której osobisty wdzięk łączył się z dużą swobodą. Właściwie i bez zarzutu wywiązał się z roli Janika, Zbigniew Ziembinski. Nie dodać, nie ująć. Miło zaprezentowała się nieznana dotychczas w Warszawie Janina Niczewska. Wyróżnił się poza tym Kazimierz Vorbrodt i Stanisław Grolicki. Dobre dekoracje dał Stanisław Śliwiński, myślę jednak, że nie potrzebnie zrobiono tak głęboką scenę. Słowa aktorów nie dochodzą do wszystkich.

Stanisław Grzelecki

Włoskie Hollywood



Mussolini położył kamień węgielny pod budowę wielkiego instytutu filmowego w Rzymie. Instytut ten projektowany jest na olbrzymią skalę. Będzie to prawdziwe „miasto filmowe”.

JERZY MARIUSZ TAYLOR

6)

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

— I czego właściwie chciał ode mnie ojciec pana, sołtys Erwin? — dolał tymczasem dalej z kuchni surowy, nie wróżyący nic dobrego głos Gołabkowej. — Proszę mówić! Cóż to? Syn sołtysa miałby na widok strzelby zapomnieć języka w gębie? A wstyd, panie Ernín, Ja przecież panu nia nie grożę. Ja teraz pytam tylko, jaki interes miał do mnie ojciec pana?

Wilhelm Ernín w odpowiedzi począł bełkotać coś pokornie i tak cicho, że Anka ledwie dosłyszała, a w każdym razie nie zrozumiała. Rozśmieszyło to ją i zaraz napełniło wzgardą do rybiokiego Niemca, który wobec niej potrafił zachowywać się najbezczelniej w świecie, a cały swój tupet stracił na widok broni w rękach... kobiety.

Wzruszyła ramionami obiecując sobie solennie, że przy pierwszej sposobności da mu również dobrą nauczkę, i zakrzętnęła się żywo około rannego, który siedział tymczasem na tapczaniku.

— Czy bardzo dolega panu rana? — zagadnęła szeptem. — Niestety, z opatrunkiem musimy poczekać, aż ciotka wyprosi stąd tego natręta.

Potrząsnął głową, jakby dając znak, że ból nie jest zbyt dotkliwy, ale, kiedy chciała się odsunąć, przytrzymał ją za rękę.

— Niech pani powie mi, kto to jest — szepnął. — Ja ten głos już dziś słyszałem. Nie myślę się. Na pewno nie myślę. To jeden z tych, którzy w lesie na mnie napadli. Proszę nie wpuszczać tutaj tego człowieka. Błagam...

Nie dokończył i całym ciałem opadł bezwładnie na tapczan

ROZDZIAŁ II

TRZEJ BRACIA Z GROBLI

Stary Wilhelm Ernín — sołtys i zarazem najbogatszy gospodarz wsi Na Grobli, wstał uroczyście i zdjął z głowy szlafmycę, a nos uzbroid w staroświeckie, druciane okulary. I szlafmyca i okulary były dla niego już jakby relikwiami, czcigodnymi pamiątkami przeszłości. Wilhelm Ernín nie rozstałby się z nimi za nic w świecie. Tę szlafmycę zrobiła mu szydełkiem z wełny czarnej, czerwonej i białej, jako upominek na pewne odległe urodziny, niezapomniana towarzysząca życia, zacna Mutterchen, która przez całe lat dwadzieścia stała wiernie u jego boku, pomagając mu w pracy przy młynie i razem z nim dzieląc trudy wychowania czworga dzieci — trzech synów i córki Hildy.

Okulary były jeszcze starsze. Wilhelm Ernín miał je w spuściznę po ojcu, też Wilhelmie i też sołtysie. Bo ta najwyższa we wsi godność stała się już jakby dziedzictwem. Dzierżyli ją w rodzinie Ernínów już cztery pokolenia, a przedtem z małymi przerwami pono jeszcze drugie cztery. Tak szanowała i ceniła rodzinę Ernínów ludność kolonii niemieckiej.

Nie będziemy się temu dziwić, jeżeli się dowiemy, że już w owych na wpół legendarnych czasach, kiedy najlaskawszy władca August Mocny na błotnistym, ale urodzajnym wybrzeżu wiślanym osadził pierwszych sprowadzonych z Saksonii kolonistów, pierwszy z Ernínów pozyskał sobie monarsze wyróżnienie. Jemu właśnie kazał król, aby przewodził nad gromadą i jemu tylko nadał miłościwie cenny przywilej — prawo zbudowania młyna i użytkowania go bez opłacania żadnych podatków po wsze czasy.

Ho! Ho! August Mocny! To był król! Takich już później nie było. Pożreć by szukać drugiego, co na polskim siedząc tronie, o niemiecki swój ład tak dbać umiał. Jak który chłop w Saksonii na chleb zarobić nie mógł, to go zaraz z królewskiego rozkazu do Polski przesyłano i osiedlano przeważnie nad Wisłą, bo tu właśnie ziemię było żyźne, a leżały odległe. Tu, Na Grobli, było tak samo. Na polecenie najmłodszejszego dano te obszary rozległe ale błotniste kilkunastu najuboższym chłopom saskim. Każdy dostał ładny szmat tej mokrej ziemi i każdemu król z własnej szkatuły jeszcze coś

na zagospodarowanie dołożył. Dobry był król! Mądry był król! Przez te łaski okazane przodkom musieli o nim pamiętać dzisiejsi koloniści i szanować jego wolę. Skoro on sam Ernína postawił na czele gromady, to tak już powinno było być aż do końca świata.

Do grobli, co broniła nisko położone ziemie od zalewów wiślanych, z biegiem lat przybyła druga, a potent jeszcze trzecia. Dzisiejsza wieś Grobla leżała w tym trójkacie, niby obóz warowny, strzeżony ze wszystkich stron przez poźne wały ziemi. Wzdłuż wschodniego sąsiedza płynęła Wisła i tędy w czasach odległych mieszkańcy kolonii komunikowali się ze światem. Tędy ów pierwszy Ernín — faworyt króla-swojaka, spławił wyroby swego młyna pod Warszawę i dalej, zaopatrując w mąkę i otręby mnogie kolonie, które z łaski Mocnego i jego następcy upstrzyły oba brzegi polskiej rzeki.

Mnóstwo ich było. Aż do samego Gdańska mógł sobie płynąć stary Kurt Ernín, nie wiedząc nawet, że znajduje się w obcym kraju. Jego barki przecież, dostarczające piękną mąkę i czyste otręby, a zabierające w zamian żyto i pszenicę, przybijały tam tylko, gdzie na widok łopoczącej na wietrze małej czarno-żółtej bandery wybiegali ze schludnych chat ludzie w kusych portkach do kolau, w wełnianych szarych pończochach i czerwonych kubrakach, wołając głośno:

— Es kommt Onkel Kurt! Also alles ist gut! Willkommen! Willkommen, Onkel Kurt!

Do końca życia też stary Kurt Ernín nie nauczył się po polsku, tak samo jak nikt z jego sąsiadów i podwładnych z małej wsi Na Grobli, jak nikt z mieszkańców innych kolonii niemieckich, zakładanych pieczętowanie przez obu królów saskich. Po co mieli się uczyć? Mieli przecież własny piękny język niemiecki, własne szkoły, własne kaplice i własnych pastorałów, którzy umieli prawie ładnie kazać niemieckie. Mieli wszystko. Kiedy ich chłopcy chcieli się zabawić, to brali w łecie łódź, a w zimie sanki, i jechali do innej kolonii, najbliższej, a czasami dalszej. Zapędzali się niekiedy aż pod Płock i tam czy gdzie indziej znajdowali tęgie, pucyfowane dziewczęta, a potem bywały huczne wesela, na których strumieniami lało się własnego wyrobu dobre piwo niemieckie.

(D. c. n.).